

Kategoria *Osoby Dorosłe*

I miejsce:

Grzegorz Czech

***Legenda o Złotym Łabędziu z Żarnowskiej, czyli skąd wzięły się ru-
chome wydmy w Łebie.***

-Szybciej! Pospieszcie się! - krzyknęła mała Etna do sióstr marudzących gdzieś z tyłu. - Musimy być tam zanim wstanie słońce! Inaczej może być za późno!

-Idziemy, idziemy - odchrząknęła z nutką pobłażania Maja, która wraz z Larą zatrzymała się na chwilę, aby popatrzeć na stukającego w drzewo prosto nad ich głowami dzięcioła. Dziewczynki szły przez las już dobrą godzinę, robiło się coraz jaśniej i leśne ptactwo powoli budziło się do życia. Trasa na szlaku Św. Jakuba (tak, tak, tego samego szlaku, którym można dotrzeć do samej Portugalii!) biegła teraz lekko pod górę, przecinając gęsto porośnięty w tym miejscu paprociami bukowy las Słowińskiego Parku Narodowego. Najkrótsza noc w roku właśnie dobiegała końca, ale trzy siostry ani myślały o szukaniu kwiatu paproci, który ponoć kwitnie w tą jedną jedyną noc. Ich kroki kierowały się ku wsi Żarnowska leżącej nad samym jeziorem Łebsko, a konkretnie ku pomostowi, z którego miały doskonały widok na wodę i porastające ją szuwary. Bywały tam nie raz, ale to właśnie tego ranka miały szansę na przeżycie czegoś niezwykłego - prawdziwy powrót króla! A wszystko zaczęło się poprzedniego wieczora, kiedy rodzice postanowili uczcić ciepłą noc letniego przesilenia ogniskiem okraszonym... niesamowitymi opowieściami. A było to tak:

-Chcecie posłuchać legendy? - tata dorzucił właśnie do ogniska suchych świerkowych gałęzi i od razu zrobiło się jaśniej, a słup iskier wystrzelił w niebo.

-Taak - chóralnie odpowiedziały dziewczynki, śledząc tańczące nad głowami ogniki, aż te zgasły.

-To ja idę spać – powiedziała, ziewając mama. - Ja już je wszystkie słyszałam...

-Zostań mamó, nie idź! Chcemy posłuchać razem z Tobą - oponowały jedna przez drugą dziewczynki.

-Skoro mama tak dobrze zna te legendy, to niech tym razem ona opowie- zdecydował tata.

- Ja się już nagadałem - po czym ziewnął i rozsiadł się na foteliku, wbijając rozbawiony wzrok w płomień.

-Taaak, mamó, opowiedz. Chcemy słyszeć, jak Ty opowiadasz! - Ma-ja, Lara i Etna nie dopuszczały myśli o sprzeciwie.

-Nno doobrze - odrzekła mama, poprawiając się na siedzisku i podobnie jak reszta towarzystwa wbijając wzrok w ogień. Zupełnie tak jakby to tam, w skaczących płomieniach ogniska zapisane były wszystkie opowieści świata. A może tylko te, które związane są z ogniem? Jeśli tak, to wszystko się zgadzało. Miała to bowiem być opowieść o ognistym Żar-Ptaku znad jeziora Łebsko! A oto i ona:

- Dawno, dawno temu - zaczęła mama z lekką chrypką - tereny dzisiejszego jeziora Łebsko były wielką zatoką morską. Nie było żadnych wydm, Łeby, ani tłumu turystów każdego lata. Cała okolica była dzika, porośnięta lasami i pełna mokradeł. Nad brzegami zatoki istniało wprawdzie kilka niewielkich osad rybackich, generalnie jednak mało kto zapuszczał się w te tereny. Królowały tu zwierzęta, głównie wszelkiego rodzaju ptaki, z których jeden był szczególny. Był to wielki złocisty łabędź, który swym pięknem i dostojnością górował nad

resztą ptactwa. Nic dziwnego że nazywano go Królem Łabędzi, albo inaczej cudownym Żar-Ptakiem.

-Dlaczego Żar-Ptakiem? Czy on dużo żarł? - spytała Etna, na co dziewczyny zachichotały, a tata cicho parsknął.

-Żar-Ptak od żaru, kochana - wyjaśniła mama. - Król łabędzi był bowiem piękny ale także bardzo groźny. Kiedy wzbijał się w niebo, jego trzepoczące skrzydła krzesaly snopy iskier. Jego gniewny syk przerażał inne ptaki a także ludzi. Było to też ogromne ptaszysko i to wzbudzało jednocześnie lęk i zachwyt u wszystkich, którzy go widzieli.

-A czy on atakował ludzi? - spytała Lara.

-Żar-Ptak nikogo nie atakował. Albo inaczej - nigdy nie robił tego bez powodu. Jak zresztą większość zwierząt, które atakują tylko ze strachu, albo w obronie swoich młodych.

-Czyli to pewnie ludzie go atakowali? - ciągnęła temat Maja.

-Niestety tak, moja droga. To ludzie mają taką dziwną chęć pokazania wszystkim istotom dookoła, że są gatunkiem panującym i robią to często bez większego powodu, a często dla samej satysfakcji.

-Chorej satysfakcji - smutno przyznała Maja.

-Żar-Ptak panował więc w swoim ptasim królestwie - mama wróciła do opowiadania - niepodzielnie i raczej bez większych problemów. Zdarzały się oczywiście małe potyczki króla ptaków z ludźmi - głównie młodymi chojrakami spośród miejscowych rybaków, którzy albo to chcieli dokazać swojej dzielności, albo zdobyć choć jedno złote pióro ptaka, by nim przyozdobić swój kapelusz lub dać narzeczonej.

-Złote pióra?! - Etna podskoczyła na pieńku, nie odrywając jednak oczu od ogniska. - To on był złoty?

-Tak. Żar-Ptak był cały ze złota. Jego pióra i dziób były złote i lśniące. A ludzi zawsze pociągało złoto. Potyczki z lokalną ludnością nie wyrządzały mu jednak żadnej szkody, z każdej bowiem wychodził zwy-

ciężko i w końcu wszyscy w okolicy wiedzieli, że z królem łabędzi nie ma co zadzierać i dawali mu spokój. Aż do tego feralnego wiosennego poranka.

-Jakiego poranka? Co się wtedy stało?!

-Pewnego rana, a było to właśnie w noc letniego przesilenia, którą dzisiaj mamy - na wody zatoki wpłynął okręt z innego świata.

-Jakiego świata?- chciała wiedzieć Etna.

-Oj, chodzi mi o to, że z dalekiego kraju. Był to okręt inny niż rybackie łodzie, które do tej pory pływały po jeziorze. Był większy, bogato zdobiony, a jego załogi nie stanowili rybacy, ale prawdziwi rycerze morscy, zwani też wikingami.

-Po co oni przypłynęli? Ci wikingowie? - Etna nie nadążała z pytaniami.

-Och, wikingowie zawsze przypływali po to samo. Aby napadać, rabować i palić. Wódz tych wikingów był jednak wyjątkowy. Przybył na te ziemie, by nimi zawładnąć i założyć tu swoje królestwo. A przecież tutaj panował już jeden król.

-Król Łabędzi! – krzyknęła cicho Lara.

-No właśnie, król łabędzi, nasz cudowny Żar-Ptak. Ragul, bo tak nazywał się wódz owych wikingów, nie zamierzał dzielić królestwa z nikim. Aby dokonać podboju musiał pokonać Żar-Ptaka! I znalazł na to sposób.

-Jaki sposób? - wyrwała się znowu Etna.

-Ragul miał plan działania. Czy wiecie, że wczesna wiosna, to czas ptasich lęgów? Większość ptaków wysiadyje wtedy jaja, z których następnie wykluwa się ich potomstwo. Z Żar-Ptakiem było podobnie.

Kiedy statek Ragula wpłynął do zatoki, partnerka naszego ptasiego bohatera (łabędzie, trochę jak ludzie, żyją w stałych związkach ze swoimi samicami) właśnie wysiadywała jaja. Jaja, z których wykluć

się miały pisklęta. Jedno z nich, o ile odziedziczyłoby po ojcu złotą barwę, miało zostać przyszłym królem - następcą Żar-Ptaka. Wszystkie jaja natomiast były złotego koloru.

-Złote jaja. Niezłe jaja! - wtrącił tata. Ale umilkł pod karcącym wzrokiem mamy, która kontynuowała opowiadanie.

-Kiedy król łabędzi ujrzał stojący niedaleko brzegu drakkar (tak nazywa się statki wikingów), wypłynął na jego spotkanie. Jako dobry gospodarz swojego królestwa i jego najlepszy stróż chciał wiedzieć, czy nowi goście przybyli w dobrych czy złych zamiarach. Zbliżał się do statku coraz bardziej, a ponieważ nie dobiegały zeń żadne ludzkie odgłosy, podpłynął tak blisko, że zrozumiał, iż... statek jest całkiem pusty!

-Pusty statek? Jak to? - tym razem Lara nie mogła wytrzymać z ciekawości.

-Na statku nie było załogi. Zdziwiło to naszego króla łabędzi, dlatego pływał wokół łodzi przez dłuższy czas, nasłuchując, ale też podziwiając piękne zdobienia kadłuba. W końcu wskoczył na pokład i wtedy to się stało.

-Co takiego? Co się stało?

-Przyczajona w pobliskich szuwarach załoga okrętu tylko na to czekała. W momencie, kiedy ptak stanął na pokładzie, z pobliskich zarośli posypał się grad strzał. Kilka z nich zgodnie z planem trafiło w maszt statku, z którego zamiast żagla opadła na naszego łabędzia wielka sieć! Żar-Ptak został schwytany! Nie zamierzał się jednak poddać. Widząc wybiegającą z gromkim krzykiem bojowym z szuwarów zgraję, łabędź zaczął przeraźliwie syczeć i miotać się, co chwilowo ostudziło zapal atakujących. Zbrojni w miecze i strzały wojownicy wskoczyli jednak na pokład i dalej pętać naszego ptaka sieciami i łańcuchami...

-Czy oni w niego strzelali? – znowu wyrwała się Etna.

-Nie. O to właśnie w tym chodzi, że celem wikingów nie było zabicie ptaszyska, ale jego schwytanie!

-I jak? Udało im się to?-dopytywała Lara.

-Żar-Ptak walczył dzielnie. Zrywał łańcuchy i liny, wierzgał i zrzucał z pokładu co raz któregoś z napastników. Gdy tylko udało mu się nieco rozluźnić uścisk więzów, zaczął trzepotać skrzydłami, a wiemy, co trzepot skrzydeł Żar-Ptaka powodował. Wokoło zaczęły sypać się iskry! Ptak syczał i rwał się do lotu, aż od płomieni spod jego skrzydeł ogniem zajął się cały okręt! Ludzie zaczęli wyskakiwać do wody, ptak zerwał się wreszcie z uwięzi i wzbił ponad płonący statek. Wydawać by się mogło, że wyszedł z opresji zwycięsko, gdy nagle z pobliskiego brzegu dotarł do niego władczy krzyk dowódcy zgrai – dzikiego Ragula. Rozjuszony ptak momentalnie ruszył w jego kierunku z zamiarem ataku, gdy nagle ujrzał w rękach wikinga siatkę błyszczącą od złota!

-Złoto! – przeciągle powtórzyła Lara, wybałuszając oczy w stronę ognia, jakby to tam można było je ujrzeć.

-Złoto w rękach wikinga – kontynuowała mama – nie było jednak żadnym złotym kruszczem. Było to nic innego jak porwane z gniazda Żar-Ptaka jaja, z których miały się lada chwila wykluć pisklęta! Kiedy Żar—Ptak to zrozumiał, natarł na wikinga z wielką wściekłością, gotów go zabić, by odzyskać jaja. Wiking był na to jednak gotowy. Nie zląkł się króla łabędzi i choć ten szalał z gniewu tuż nad jego głową, miotając iskry i przeraźliwie sycząc, wojownik stał niewzruszony i tylko wciąż powtarzał jedną komendę – Poddaj się! Poddaj!!

-I co? Czy Żar-Ptak się poddał?

-Widząc niewzruszoną postawę Ragula (nikt dotąd nie był tak odważny w konfrontacji z wielkim łabędziem!), Żar-Ptak odczuł dziwne zwątpienie. Oto stał przed nim człowiek władczy, wydawało by się bez lęku, a w jego rękach było to, co ptak uważał za swój najcennie-

szy skarb – jego własne potomstwo. Ogromny ptak wisiał nad Ragulem jeszcze przez pewien czas, machając w miejscu skrzydłami. Wściekły syk utknął mu jednak w gardle, a gniewny wzrok topniał z każdą sekundą pod naporem zimnego jak stal spojrzenia człowieka. Kiedy ten ostatni wyciągnął z siatki jedno ze złotych jaj, grożąc rozbi-
ciem, nasz dzielny ptak, król wszystkich łabędzi, pokornie sfrunął na ziemię u stóp wikinga i... poddał mu się.

-Jak to się poddał? A pisklęta? Co z nimi? – Etna mimo późnej pory, coraz bardziej się nakręcała.

-Ragul zakuł łabędzia w stalową obręcz i łańcuch, pisklęta zaś po wykluciu włożył do klatki. Odtąd nieszczęsny ptak był jego niewolnikiem i robił wszystko, co jego pan rozkazał. A były to rzeczy straszne.

-Co takiego? Co kazał mu robić ten Jazgul?

-Ragul, bo tak brzmiało jego imię, uczynił z ptaka swą najstraszliwszą broń, narzędzie przemocy i tyranii. Za jego sprawą szybko podbił i zniewolił okolicznych mieszkańców. Strach padł na całą łebską krainę i nic już nie było takie samo, jak dawniej.

-Czy Żar-Ptak się w końcu uwolnił? – chciała wiedzieć Lara.

- Przez wiele lat służył swojemu okrutnemu panu, z rzadka tylko widząc swoje dzieci, małe pisklęta, potem już duże ptaki, nieodmiennie w klatce. Jednak i dla nich los w końcu się jednak odmienił.

-Co się stało? Uciekły?

-Kiedy Ragul podporządkował sobie już wszystkie okoliczne ziemie, zamarzyło mu się ruszyć na podbój całego świata. Na dzień wyruszenia wybrał sobie najkrótszą noc w roku, a więc kolejną rocznicę swojego przybycia na te ziemie. Miał to dla niego być dobry omen, zwiastun powodzenia na tej szalonej wyprawie. Jednak ta data, jak dobrze wiemy, nie tylko jemu zapadła w pamięci. Żar-Ptak choć od lat na uwięzi, dobrze pamiętał, kiedy pozbawiono go królestwa i myśl o jego

odzyskaniu nachodziła go każdej nocy letniego przesilenia. Tym razem jego marzenie miało się wreszcie spełnić.

-Jak to się stało? Czy w końcu pokonał Ragula?

-Ragula ostatecznie pokonały siły natury. W noc wypłynięcia na morzu rozszalała się potężna i niespotykana o tej porze roku burza. Sztorm pozbawił wikinga całej jego floty, a także jego najstraszniejszej broni, ognistego ptaka, który korzystając z okazji zerwał się z uwięzi.

-A jego dzieci? Co z nimi?

-Klatka z dziećmi Żar-Ptaka przepadła razem ze statkiem. Czy królowi łabędzi udało się je uratować, tego nie wiemy. Nie wiemy zresztą także, co stało się z samym Żar-Ptakiem, poza tym, że wyrwawszy się z niewoli, postanowił raz na zawsze zamknąć żeglarzom drogę do swojego królestwa.

-Jak to zrobił? – dopytywała Etna.

-Odzyskawszy upragnioną wolność pośród burzy, ptak wpadł w amok. Czy to walcząc ze szkwałem, czy mszcząc się na znienawidzonych ciemieżycielach, łabędź szalał w powietrzu, fruując w tę i z powrotem nad wodami zatoki. Machał swymi potężnymi skrzydłami tak mocno i wytrwale, aż zasypał wejście do zatoki piaskiem z morza, w efekcie czego powstały dzisiejsze ruchome wydmy oraz trzecie co do wielkości jezioro w naszym kraju – Łebsko.

-Piękna historia! – odezwał się tata, do tej pory zatopiony w myślach. – Dodaj jeszcze, że na cześć naszego Żar-Ptaka, nad brzegiem jeziora istnieje teraz wieś o nazwie Żarnowska.

-Zgadza się. We wsi jest pomost widokowy i plaża, kąpiel w jeziorze jest jednak zabroniona właśnie ze względu na lęgące się w okolicznych szuwarach ptaki. Kto wie? Może gdzieś tam przyjdzie na świat następca naszego króla łabędzi? Legenda głosi, że ma się to stać wła-

śnie w noc przesilenia. Na krótko przed świtem następca Żar-Ptaka właśnie tam ma się objawić światu...

I tak to właśnie było. Mama skończyła swą opowieść na dobranoc krótko po północy, a już dwie godziny później dziewczyny znów były na nogach. Kiedy dotarły wreszcie na pomost, pierwsze promienie słońca akurat wystrzeliły w niebo i gładką taflę jeziora zalał jasny błękit. Wszędzie dokoła panował niebywały harmider, zbudzone ze snu ptactwo darło się w niebogłosy, cała okolica ćwierkała, skrzeczała, gulgotała i trąbiła. Czy były to fanfary na cześć nowego władcy jeziora? Czy oto nadszedł ten dzień – długo oczekiwany powrót ptasiego króla? Powietrze pachniało niezwykłością, a ziemia i woda aż tętniły energią rozpoczynającego się lata. Dziewczyny stały na pomoście jak urzeczone przez dłuższą chwilę bez słowa. Wpatrzone i zasłuchane. Zatopione w cudowności świata, który miał jeszcze dla nich tyle fascynujących opowieści.

Zakk Poderoijen

II miejsce:

Tadeusz Charmuszko

LĘBORSKIE ŻABY

Zamierzchłe to już wprawdzie czasy, ale że wielce intrygująca historia wówczas wydarzyła, toteż bez wątpienia warta jest przypomnienia. Otóż Krzyżacy po wybudowaniu nad Łebą okazałego zamczyska oraz otoczeniu Lęborka solidnymi murami obronnymi z potężnymi basztami, poczuli się wreszcie całkowicie bezpieczni. Czerwone mury i dachy wkomponowane w bujną zielen, a jeszcze do tego błękitna wstęga Łeby i wiew zdrowy znad morza stworzyły klimat jak w bajce. Mieszkańcy mogli nareszcie żyć niczym pączki w maśle. Krzyżacy urządzali polowania w Puszczy Kaszubskiej i po udanych łowach całymi dniami biesiadowali. Przy zamku powstał niebawem młyn i usadowił się znakomity piekarz, toteż pieczywo także było z pierwszej ręki, pachnące, rumiane i chrupiące, aż ślinka ciekła. Trwało tak sielsko i anielsko, dopóki podczas kolejnego polowania nie doszło do przykrego incydentu. Jeden z braci zakonnych, goniąc za jeleniem, marnie strzelał z łuku i zranił przypadkowo gniewińskiego stolema, wynajętego do nagonki. To było zaledwie draśnięcie, ale wśród olbrzymów nastąpiło niezrozumiałe poruszenie, może wcześniejsze niesnaski na to się nałożyły, faktem jest, że zapalali gniewem i żądni zemsty, tłumnie wyruszyli na Lębork. Solidne mury okazały się dla nich zaledwie odrobinę większym progiem, który przekroczyli bez trudu i szukali zemsty na winowajcy. Co ciekawe, nie mogli wejść do żadnego domu, ani do zamku, ponieważ dla nich lęborskie budowle jawiły się niczym zabawki. Przerażeni mieszkańcy byli natomiast pewni, że ci gigantyczni mocarze w perzynę obrócą miasteczko i niebawem zdepczą na amen. Jednak domki z czerwonej cegły, kryte czerwoną dachówką najwyraźniej spodobały się stolemom, ponieważ obchodzili się z nimi

niczym z jajkiem, stąpali ostrożnie i starali się niczego nie uszkodzić. Rozłożyli się wreszcie obozowiskiem nad Łebą pod zamkiem i pilnie czatowali na jego lokatorów. Kiedy się tylko Krzyżak pojawił na zewnątrz, chwyтали go za kabaty, dla zabawy kręcili młynka i jak niepotrzebny odpad ciskali precz nieszczęśnika daleko na pobliskie bagna, z których nieborak nie mógł się wykaraskać, bowiem torfowiska rozległe były wówczas oraz pioruńsko głębokie. Po kilku takowych przypadkach, reszta z osiedlonych na zamku obawiała się wyjść na zewnątrz.

Stolemom posmakował także chleb wypiekany przez tutejszego piekarza. Jeden bochen był ledwie niewielkim kąskem, dlatego wypieki znikwały momentalnie po upieczeniu, a piekarz musiał zatrudnić pomocników, ażeby nadażyć z dostarczaniem pieczywa.

Wyglądało, że olbrzymom spodobała się zaistniała sytuacja i najwyraźniej nie zamierzali się wyprowadzić, toteż na mieszkańców padł blady strach, że jak nie będą wrzuceni do bagna, to pomrą niebawem z głodu. Najpewniej tak by właśnie ostatecznie było, gdyby nie rzecz przykra, bowiem wrzuceni do bagna zaczęli gnić i smród unosił się straszliwy, gdyż dnia akurat zdarzyły się upalne. Mogło nawet dojść do zatrucia torfowisk i wybuchu zarazy. Stolemów w gruncie rzeczy to nie obchodziło, ale nie spodobało się żabom, którym owe aromaty zafundowano. Bagna były wówczas rozległe, jak okiem sięgnąć i jeszcze dalej, toteż i żab była na nich niezliczona ilość. Wpierw zaczęły gniewnie rechotać na wyczyny stolemów, aż drżały w posadach lęborskie mury obronne, a jak to nie pomogło, ruszyły hurmem na Lębork i biwakujących tamże stolemów. Żaby urodziwe nie są, jak wiadomo, natomiast kiedy dokładnie oblażyły stolemów, widok tych ostatnich przyprawiał o odruch wymiotny. Toteż jak na siebie popatrzyli, kiszki im się wywróciły na lewą stronę, podeszły niemal pod same gardło i nie czekali chwili dłużej, od razu rzucili się do panicznej ucieczki. Nie uciekli wprawdzie daleko, gdzie pieprz rośnie, ale dotarli na nadmorskie wydmy i tam padli bez tchu na wznak radzi z faktu, że się za-

by wreszcie od nich odkleiły. Leżeli tak i leżeli, bowiem zmęczyli się biegiem, gdyż od Lęborka do morza kawałek jest drogi, zaś kiedy leżeli, wiatr piasek na wydmach przesypywał i przesypywał, niby taka niewinna zabawa, jednakże w skutkach może być tragiczna dla owych bywalców, którzy chcieliby na wydmach dłużej się wczasować, toteż zasypało wnet olbrzymów z kretelem i wszelki ślad po stołach zaginął. Tymczasem w Lęborku zapanowała radość nie do opisania z powodu uwolnienia od gości nieproszonych. Postanowiono niezwłocznie upamiętnić bohaterskie żaby, które miasto uratowały przed niechybną zgubą. W pierwszym założeniu miał powstać pomnik, jednak pomnik to suchy jest obelisk, natomiast żaby potrzebują wody. Dlatego postanowiono wybudować fontannę z żabami, która ostatnio przeszła gruntowną renowację. Obecnie osiem z brązu żab dostojnych przycupnęło na granitowym postumencie i na potęgę leją wodę codziennie. Każdej z pyska woda tryska i nie masz w mieście piękniejszego widowiska! Teraz ławki wokół fontanny obleżone są przez polityków, którzy mają darmowy kurs lania wody.

III miejsce:

Katarzyna Starostecka

Legenda o zakładzie diabła z księdzem

Działo się to w czasach gdy na ziemiach obecnego sołectwa Nożynko władzę sprawowała rodzina von der Marwitz. Cicha i spokojna miejscina, w której każdy znał swoje miejsce i zakres obowiązków. Przy wjeździe do wsi, naprzeciwko szkoły znajdowała się dzwonnica z pięknym donośnie brzmiącym dzwonem. Służył on do alarmowania wszystkich we wsi i okolicy. Dzwon ostrzegał przed najazdem wroga, bił na alarm podczas pożarów, głosił śmierć i narodziny. Wyznaczał rytm życia odmierzając czas pracy i modlitwy. Pewnego wiosennego dnia ksiądz proboszcz z Nożyna zawitał do Nożynka. Był zainteresowany owym dzwonem. Chciał, aby dzwon został zamontowany na wieży kościelnej w Nożynie. Prowadził rozmowy na ten temat z obecnym właścicielem Klein Nossin (dawna nazwa Nożynka). Jednak ten nie chciał się na to zgodzić. Gdy po raz kolejny ksiądz pojawił się z tą samą propozycją u włodarza ten po raz kolejny odmówił. Proboszcz bardzo się zdenerwował i wsiadając do swojego wozu wykrzyczał w stronę von der Marwitza:

– Dopnę swego jeszcze pan zobaczy. Choćbym miał zaprzedać duszę diabłu to sprowadzę ten dzwon do kościelnej dzwonnicy! Właściciel majątku tylko popatrzył na księdza z litością. Po czym odwrócił się i powolnym krokiem wrócił do pałacu. Ksiądz długo nie myśląc ruszył w stronę Nożyna. Minęło kilka tygodni i ksiądz znów pojawił się na terenie majątku w Nożynku. Poprosił o spotkanie z właścicielem. Powodem spotkania była ta sama sprawa, którą ksiądz próbował od pewnego czasu doprowadzić do skutku. Po kilkunastu minutach rozmowy ksiądz znów wyszedł z pałacu zdenerwowany. Ponownie powtórzył znany już właścicielowi Nożynka frazes:

– Choćbym miał stanąć na głowie, choćbym miał podpisać cyrograf mocom piekielnym sprawię, że dzwon zabije w kościele.

– Oj żeby ksiądz tego nie pożałował. Jeszcze naprawdę się tak stanie.

– Odparł von der Marwitz i zniknął za drzwiami pałacu. Ksiądz chciał wrócić do Nożyna. Niestety koło dzwonnicy drogę zastąpił mu mężczyzna w surducie, cylindrze i z laską w dłoni. Ksiądz zatrzymał się, wysiadł z wozu i podszedł do nieznajomego. Zapytał dlaczego zagroził mu drogę i nie chce go przepuścić. Mężczyzna ów odpowiedział:

– Słyszałem, że pragnie ksiądz, aby dzwon z tutejszej dzwonnicy zagrościł w kościele w Nożynie. Ksiądz zdziwiony nic nie odpowiedział. Nieznajomy pytał jednak dalej:

– Podobno jest ksiądz nawet w stanie zaprzedać duszę diabłu.

Ksiądz nadal nie odpowiadał i z zaciekawieniem przyglądał się mężczyźnie.

– Jestem w stanie pomóc waszmości w dokonaniu tego. W mojej mocy jest zapewnienie, że dzwon zostanie przewieziony do kościoła.

– Ciekawi mnie w jaki sposób mógłbyś to uczynić? – zastanawiał się proboszcz.

– Zostawię tę tajemnicę dla siebie. – uśmiechnął się nieznajomy.

– To co w takim razie miałbym uczynić, lub co wymienić za ten dar? – ksiądz nie dawał za wygraną.

– Zagramy w pewną grę. Od teraz, aż do zachodu słońca dokładnie za siedem dni dzwon będzie bił zgodnie z rytmem życia mieszkańców. Jeśli dzwon zabije więcej razy w dobrą, szczęśliwą chwilę dostanie go ksiądz. Będzie mógł zawieść do kościoła. Jeśli jednak zabije więcej w sytuacjach smutnych, złych wówczas odbiorę księdzu coś co jest dla niego najcenniejsze. Proboszcz pomyślał przez chwilę, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Więc nie przeciągając dłużej podał mężczyźnie dłoń. Tamten uściśnął mu dłoń, uśmiechnął się pod nosem

i odsunął się z drogi. Tak, aby ksiądz swobodnie mógł przejechać i wrócić do siebie. Przez kolejny tydzień życie w Nożynku toczyło się tak jak zwykle. Dzwon wybrzmiewał wniebogłosy za każdym razem gdy był potrzebny. Czasem zabił w szczęśliwej chwili, czasem w smutnej sytuacji. Jednak tak naprawdę nikt nie zwracał uwagi na to ile razy dzwon zabił. A już na pewno nie na to, czy więcej zabił w dobrej chwili, czy jednak w złej. Nadszedł dzień rozliczenia dzwonu przez księdza i nieznajomego. Zgodnie z tym jak brzmiała umowa, ksiądz zjawił się przy dzwonie siódmego dnia o zachodzie słońca. Wystraszył się, ponieważ nie słyszał żadnych kroków w okolicy, a nieznajomy pojawił się przed nim jak duch.

– Uniżenie kłaniam się księdzu. – pozdrowił nieznajomy.

– Bóg z Tobą. – odezwał się proboszcz. Na to pozdrowienie mężczyzna bardzo się wzdygnął.

– Musimy zaprosić jeszcze jedną osobę, która będzie nam potrzebna, aby dojść do zgody w sprawie dzwonu. Nagle zjawił się przed nimi starszy mężczyzna, który opiekował się dzwonem i dzwonnica. Chłop był bardzo zdziwiony tym gdzie właśnie się znajduje. Jednak widząc księdza i dziwnego mężczyznę bał się zapytać, co właściwie tam robi. Nieznajomy zapytał:

– Powiedz nam dobry człowieku, ile razy w minionym tygodniu bił dzwon? W jakich sytuacjach jego głos rozbrzmiewał po okolicy. Chłop zaczął wyliczać ile razy i w jakich sytuacjach dzwon się odzywał. Mężczyzna z księdzem analizowali każdą sytuację z osobna. Niestety mężczyzna zaczął prowadzić ilościom złych wieści. Jednak ksiądz nie tracił wiary i nadziei. W myślach gorąco modlił się do Boga. Zakończywszy wyliczanie chłop zniknął tak szybko jak się pojawił. Rozpłynął się w powietrzu niczym mgłą. Ksiądz zadowolony podał rękę nieznajomemu, aby uprawomocnić wiążącą ich umowę. Jednak mężczyzna zaklął tylko siarczyście, zrobił groźną minę, odwrócił się na pięcie i zniknął z głośnym hukiem w kłębie dymu. Ksiądz zdą-

żył tylko zauważyć koniec ogona wystającego spod surduta. Wystraszył się, ale umowa jest umową. Dlatego nazajutrz z samego rana zapukał do drzwi pałacu von der Marwitzów upominając się o „swoją” własność. Jakie było jego zdziwienie, gdy właściciel majątku nie sprzeciwiał się temu. Koniec końców dzwon z Nożynka zawisł w wieży kościoła w Nożynie gdzie znajduje się do dnia dzisiejszego. Legenda głosi, że jeśli ów diabeł, który umowę o dzwon zawarł, zbliży się w okolice Nożyna i usłyszy jego dźwięk wyje wniebogłosy, ogonem uszy zatyka i ucieka gdzie pieprz rośnie. Niektórzy twierdzą, że wyjąca dziwną postać widywali na terenach okalających Nożyno. Jednak obecnie słuch o niej zaginął.

Wyróżnienie:

Noemi Kicyła

Baltie

Dawno, dawno temu na wzburzonych falach Morza Bałtyckiego tańczyła rybacka łódka, a w niej już nie tylko o byt, a o życie walczyło dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich, starszy, o powykręcanych artretyzmem rękach i włosach białych jak mleko, uwiesił się na wiosłach w rozpaczliwej próbie utrzymania łupinki na powierzchni wody, złożąc przy tym w głos:

– Ki diabeł mnie podkusił? Toż to najlepszy rybak w okolicy, mówili! Chłopak młody, zdrowy, na morzu zna się, jak mało który, mówili! Mocarz i charakternik, mówili. Mówili, mówili, a teraz oni tam, w cieple i suchości, a mnie na śmierć idzie! – Splunął w zbierającą na dnie kałużę. Młodszy, bardziej skupiony na ratowaniu resztek sieci i ich wartości, widocznie się zagotował.

– A najlepszy, najlepszy! Nikogo nie przymuszał, stary przebierał nogami jak kocur na przyjście marca, jak o łowach na morświny usłyszał!

– Boć to mnie piękną gadką zwiódł, latawcu złotousty, synu wilka i lisicy! W gębie zawsze mocny, gadką każdej gąsce w płóchej głowie zawrócił, a głupiś jak ta noga stołowa!

– A nie głupszy ten, co głupiego posłuchał?!

Staruszek już otwierał usta, najpewniej w celu udzielenia ciętej riposty. Nie zdążył. W tej właśnie chwili w bok łodzi uderzył spieniony bałwan. W mgnieniu oka obu rybaków zalał rozszalały, spieniony żywioł. Sławko nawet się nie obejrzał, kiedy wylądował w morzu, w lodowatej wodzie. Zdezorientowany, usiłował walczyć, ale mimo mło-

dego wieku i niewątpliwej krzepy szło mu bardzo niemrawo. Ledwie rozeznawał się, gdzie dół, gdzie góra. Ubranie ciążyło nieznośnie, a lodowaty chłód paraliżował mięśnie. Szybko tracił siły. Wreszcie członki całkiem odmówiły mu posłuszeństwa. W głowie kołatała się tylko jedna myśl: *Umieram. Zaprawdę, umieram. Przed dwudziestą drugą wiosną życia... umrę.*

Przed oczami tańczyły mu mroczki. Początkowo oszczędne, rozbłyskały nieśmiało w gęstniejącej ciemności – kółka, kreski, kwadraty, by rozrastać się, łączyć ze sobą, rozdzielać, mnożyć i rozgałęziać. Nad głową Sławka przemknęła ławica maluteńkich, płochliwych rybek, jaśniejących niczym robaczki świętojańskie na Świętego Jana. Trochę na prawo zniknął w toni ogon jakiejś gargantuicznej ryby, dłuższy niż dwóch dorosłych mężczyzn. Niżej, głęboko w dole, świetlistą linią zarysowywały się kontury twierdzy, może pałacu, o murach zwieńczonych wieżyczkami z powykręcanych muszli, jakie kupcy przywozili czasem z odległych krain, znad innych mórz, a nawet oceanów. Przez otępiały mózg tonącego chłopca przemknęło podejrzenie, że może już umarł i trafił do podmorskiej krainy, przeznaczonej dla nieszczęśników zdybanych przez kostuchę na otwartych wodach. *Ciekawym, czy okaże się rajem, czy też piekłem?* zastanawiał się, oglądając kolejne dziwy. W końcu jego uwagę przykuł kształt różny od innych, formujący się w świetlistą sylwetkę podobną ludzkiej, lecz zakończoną zielonkawym ogonem z płetwami zdobionymi ostrygami umocowanymi na wzór kolczyków. Wyżej, w miejscu, gdzie powinny znajdować się biodra, wyrastał tors kobiecy o skórze bladobłękitnej barwy, niemal w całości ukryty pod łańcuchami i łańcuszkami muszli, pereł oraz kolorowych kamieni o obłych krawędziach, polerowanych przez cierplive, morskie prądy. Znad tej plątaniny wwierały się w Sławka oczy o spojrzeniu zimnym jak i ich kolor, żółtozielony niczym u kota. Chłopak uniósł wzrok nieco wyżej na koronę górującą ponad burzą srebrzystych włosów i pożałował, że obecna jego sytuacja uniemożliwia mu padnięcie na twarz, co byłoby jedyną słuszną postawą wobec

Juraty, królowej Bałtyku, bohaterki niezliczonych legend i pieśni. Z olbrzymim trudem, jednak zdołał zgąć sztywny kark w nieporadnym ukłonie. W jego sercu wezbrała nadzieja. Królowa morska nie rozmawiałaby z nim bez powodu.

– Dobrze główkujesz – zaśpiewał w jego głowie bezcielesny głos, choć blade wargi nawet nie drgnęły. – Nie zwykłam robić nic bez powodu, ale słuchaj uważnie i miarkuj, co ci proponuję, chłopcze. Patrz! Kładę dziś przed tobą życie i dobro oraz śmierć i zło. Wybieraj, lecz wybierz mądrze. Możesz wybrać drogę prostą i bezpieczną, czyli umrzeć, zasnąć i odpłynąć w krainę zapomnienia; możesz też wybrać drogę wyboistą i trudną, drogę życia w cieniu wyrzeczeń i trudów, spełniając misję, jaką zamierzam ci powierzyć. W innych okolicznościach Sławko może zastanowiłby się nad słowami królowej, jednakże w tej chwili myślał jedynie o wysłużonym sienniku w rybackiej chacie odziedziczonej po ojcu. Próbował pokiwać głową, jednak Jurata powstrzymała go władczy gestem.

– Zastanawiałeś się nad tym, co cię tu przywiodło? Och, nie, nie miałeś na to czasu, choć zaręczam ci, nie była to że ani burza, ani sztorm, ani fale. Nie przedstawiłam ci swojej propozycji, a oto i ona: gdy trafisz na plażę, znajdziesz tam dar. Przyjmij go, zabierz do swojego domu i otocz opieką, a obdarzę ciebie i osadę, w której żyjesz powodzeniem i dostatkiem; jednak jeśli odrzucisz ów dar lub gdy on odrzuci ciebie, postradasz własne życie i sprowadzisz nieszczęście na całą wieś. No proszę, składam na twoje barki odpowiedzialność godną księcia, a ty tak ochoczo pragniesz ją przyjąć! Głupiś! Tym razem Sławko poczuł wzbierający gniew. Jaki ma w tej sytuacji wybór?

– Zawsze jest jakiś wybór, a ty właśnie go dokonałeś. Dobrze zatem, taki pakt należy przypieczętować – stwierdziła, chwytając swego bezradnego rozmówcę za gardło. Wzdrygnął się, gdy lodowate, pletwiaste palce zacisnęły się mocno na jego krtani. Usłyszał jeszcze tylko rozkaz: *Lewiatanie, czyń swą powinność!* i dostrzegł przesuwające się nad nim rzędy zębów długich jak jego przedramię, zamykając go

wśród ciemności tak nieprzeniknionych, że stracił poczucie własnego jestestwa. Wtem rozbłysnął świetlisty punkcik. Przypominał gwiazdę, ale dziwnie zielonkawą, kołyszącą się delikatnie w chmurce cieniutkich, migotliwych witek. Później pojawiła się kolejna, i następna, i jeszcze jedna, aż otoczyły Sławka ze wszystkich stron, jakby nie wpadł do morza, a uniósł się wysoko, aż przed stopnie Perunowego tronu. Przerażony i skonsternowany, zacisnął mocno powieki i poczuł drętwienie w obu stopach. Całe ciało wydawało się zziębnięte, obolałe, obce. Pojawiły się dźwięki, przytłumione i odległe, więc nie przejmował się nimi zbyt, aż nie zaalarmował go krzyk mew. Otworzył oczy i ponownie zobaczył gwiazdy, ale tym razem wyglądały normalnie i mrugały ospale z granatowego nieba, pokrywającego się stopniowo rumieńcem porannej zorzy. Zaczął z trudem poruszać zeszywniałymi członkami, próbował nawet wstać, lecz szybko się poddał i ponownie legł na mokrym, uklepanym piasku. Znów zamknął oczy i z lubością wdychał słoną bryzę, rozkoszując się tym prostym faktem, że po prostu żyje i może korzystać ze swoich płuc. Chciałby tak leżeć aż do końca świata, jednak do na ziemię sprowadził go rosnący ból w mięśniach. Rozwarł piekące powieki i ze zdziwieniem dostrzegł parę wpatrujących się w niego oczu, ciemnoszarych i błyszczących. Chciał krzyknąć, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

Nazwał ją Miłką, bo było to imię równie dobre jak wszystkie inne, a idealnie pasowało do jej łagodnej, okrągłej twarzy i spokojnego usposobienia. Spokojnego przynajmniej z początku, kiedy znalazł ją wtedy na plaży, całkiem nągą, zmarzniętą i zagubioną. Wpierw nie wierzył własnym oczom, lecz zachowanie dziewczyny szybko rozwiąło jego wątpliwości co do natury daru, który miał na niego oczekiwać. Nie mógł nawet się wściekać, krzyczeć czy złorzeczyć, bo głos utracił całkowicie i nieodwołalnie – otwierał i zamykał usta, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Za to drżąca z zimna i strachu niewiasta głos posiadała, a jak, jednak pożytku żadnego nie umiała z niego

zrobić, pojękiwała tylko i skomlała jak małe dziecko lub przerażone zwierzątko. Tak minęła godzina, może dwie. Słońce wzniosło się już ponad horyzont i linię drzew, kiedy zrozpaczony Sławko prowadził swój „dar” przez uśpioną Łebę, odprowadzany okazijnym paniem koguta i poszczekiwaniami zaniepokojonych burków. W ten oto sposób wypełnił dwa pierwsze warunki umowy, to jest dar przyjął i zabrał do własnego obejścia, choć co z nim dalej począć – nie miał bladego pojęcia. Przez cały następny dzień zastanawiał się, co oznaczało „otoczyć opieką” i w jego piersi narastały podejrzenia przejmujące go autentyczną grozą. Tak minęło kilka kolejnych dni, wypełnionych wstydem i zgryzotą. Sławko nigdy nie szczycił się jakąś nadzwyczajną urodą, jednak to w jego stronę zwracały się mniej lub bardziej ukradkowe spojrzenia okolicznych dziewczuch, jego też mniej lub bardziej otwarcie podziwiali ziomkowie i to jemu zazdrościli. Nie był ani ładny, ani brzydki, za to młody, rośły, krzepki i silny, obdarzony niemałą fantazją, odwagą i śmiałością. W szerokim uśmiechu prezentował zęby zdrowe i równe, do każdej sprawy podchodził z niezachwianą pewnością co do oczekującego go sukcesu, a jeśli się nie udało, wzruszał ramionami i szedł dalej na spotkanie nowych wyzwań. Teraz unikał wzroku sąsiadów i przemykał się opłótkami, modląc się w duchu, by nikt go nie dostrzegł. Utracony głos nie powracał. Głos, którym niejednego rybaka przekonał do śmiałej wyprawy, dzięki któremu z niejednej awantury się wykpił i który niejedną skłonił do poszukiwania bardziej ustronnego miejsca. Poczucie straty przygniotło go i wprowadziło w głębokie przygnębienie, spotęgowane obecnością płaczliwej, płochliwej towarzyszki, mamroczącej pod nosem niezrozumiałe zaklęcia i dziwującej się nawet takim ordynarnym przedmiotom jak wiadro czy koszula. Za zebrane oszczędności zakupił dla niej odzież od wędrownego kupca, choć rozmowa na migi kosztowała go niemało wysiłku, nerwów i frustracji. Potem było tylko gorzej. Choć z każdym dniem dziewczyna uspokajała się i przyzwyczajała do nowej rzeczywistości, to nie mógł jej trzymać u siebie pod dachem. Z drugiej strony bał się komukolwiek zwierzyć w obawie, by nie uznali młódki za

czarownicę lub jakąś nieczystą siłę. Co prawda w skrytości ducha podejrzewał, że zaiste do tego rodzaju istot się zaliczała, jednak zbyt mocno obawiał się urażenia Juraty i nie mógł pozwolić sobie na skrzywdzenie swojego „daru”. Uczucia te jedynie spotęgowały się, gdy przy kolejnej wizycie w sąsiedniej wiosce próbował wcisnąć znajomej gospodyni Miłkę jako pomoc domową. Tej samej nocy rozpętał się sztorm, jakiego nie pamiętali nawet najstarsi Łebianie. Potężne fale niemal zatopiły osadę, rzeka wybiła z koryta, zalewając część pól, a silny wiatr przegonił wydmnę tak, że zwały piachu zasypały kilka domostw i połowę głównej drogi. Rad nierad, Sławko odebrał Miłkę i sprowadził z powrotem do siebie, kładąc kres podobnym katastrofom i modląc się żarliwie, by nikt nigdy nie odkrył powodów nieszczęść, jakie spadły na wieś. Podczas bezsennej nocy poprzedzającej odebranie dziewczyny podjął też rozpaczliwą decyzję i gdy ponownie przekraczała próg jego domu, przekraczała go jako jego żona. Nawet publiczna egzekucja nie wzbudziłaby takiej sensacji jak niespodziewane małżeństwo biednego, acz ambitnego rybaka z nikomu nieznaną białogłową, która w dodatku zachowywała się co najmniej dziwacznie. Nie żeby było to mieszkańcom przeszkadzało, wręcz przeciwnie, po fali zdumienia i oburzenia cała sytuacja okazała się wspaniałą historią, na temat której wiele można było dyskutować i wiele domysłów można było snuć, po latach zaś zasilila arsenał anegdot na tyle tajemniczych, by z lubością powrócić do nich podczas długich, zimowych wieczorów, nawet jeśli niewiele można już było nowego powiedzieć. Ksiądz związek pobłogosławił i młodzi zamieszkali pod jednym dachem, dzieląc wprawdzie jedynie przestrzeń, by z czasem dzielić również trudy i uroki, a nawet łóżę, czego owoce biegały w słoneczne dni z krzykiem po bujnym, zadbanym ogrodzie, największej pasji Miłki zaraz po wpatrywaniu się w morze, do którego nigdy nie wchodziła. Choć początki nie należały do łatwych, z każdym kolejnym dniem dziewczyna rozkwitała niczym kwiat po przedłużającej się zimie. Szybko opanowywała kolejne obowiązki, jeszcze szybciej nauczyła się ludzkiej mowy i tego, jak używać jej ku korzyści swojej i bliskich.

Energiczna, pracowita i obrotna, wkrótce została głosem męża, on zaś służył ich rodzinie parą silnych, niebojących się pracy rąk. Jak nikt znał okoliczne wody i doskonale wiedział, gdzie i kiedy wybierać się na zawsze udany połów. Na początku ich wspólnego życia zdradzała mu to żona, później zaś już tylko wiernie odprowadzała go na plażę i smutnym wzrokiem patrzyła, jak jego szerokie plecy znikają wśród łagodnych fal, by powrócić na jego powitanie bladym świtem i pomóc w transporcie muszli oraz wielkich brył bursztynu, jakie znaleźć można było tylko głęboko na morskim dnie. W ciągu dnia sprzedawali je bardzo korzystnie i wkrótce znacznie pomnożyli skromny niegdyś majątek do tego stopnia, że zaczęły ścigać ich nabrzmiałe zawiścią szeptów i nieżyczliwe spojrzenia, z których nauczyli się nic sobie nie robić. Jurata wysokiej ceny zażądała od Sławka, a on po okresie buntu, rozpaczy i rezygnacji postanowił obrócić tę bolesną lekcję na swoją korzyść. Choć ze światem porozumiewał się w miarę efektywnie, to nieocenioną pomocą służyła mu Miłka, zazwyczaj pomagająca przy tłumaczeniach, a w razie potrzeby targująca się w jego imieniu z kupcami i gardłująca na niekorzystne warunki zleceń. Wiele wody w rzece Łebie upłynęło, zanim do nowej sytuacji przywykli i Sławko z Miłką, i ich sąsiedzi, i mieszkańcy okolicznych osad, a i po wielu latach niektórzy używali między sobą określenia „ta pyskata przybłęda”. Mimo buzującej w niektórych kręgach towarzyskich niechęci małżonkowie stworzyli siłę, z jaką należało się w okolicy liczyć. Zwracał się do nich każdy, kto chciał zapewnić powodzenie swojemu interesowi na morzu, posłuch dawali im także Łebianie, gdyż rady miłującej naturę Miłki świetnie sprawdzały się w walce z nawracającymi podtopieniami pól, wylewami rzek i piętrzącym się piaskiem. Wdzięczni za tę pomoc ludzie chętniej dawali posłuch żarliwym namowom młodej kobiety o okazywanie szacunku naturze, poprzestawaniu na małym i wstrzemięźliwości w jedzeniu oraz zarobkowaniu, gdy odbywają się kosztem zwierząt. Choć Miłka posługiwała się ludzką mową po mistrzowsku, nigdy nie zdradziła mężowi, dlaczego to właśnie ją przeznaczyła Jurata na jego towarzyszkę życia. Pytał ją o to wielokrotnie

przy różnych okazjach, wpatrywał się intensywnie w jej twarz, również ani ładną, ani brzydką, lecz tchnącą miłością do wszystkiego, co żywie, próbując zgadnąć, kim była, zanim trafiła na łebską plażę. Bezskutecznie. W takich sytuacjach zaczynała drżeć i zamykała się w sobie, a wszelkie naciski skutkowały napadami melancholii, więc z czasem zaniechał podobnych prób. Wiedział jedynie, że nastąpiła pewna wymiana – on głos utracił, ona zyskała i nie mógł zdobyć pewności, czy to wyobraźnia nie płata mu figli, lecz czasami odnosił wrażenie, jakby w sposobie mówienia i tonie Miłki rozpoznawał te tak dobrze znane sobie tony. Z kolei on zyskał zdolność nurkowania w odmętach, jakie nie śniły się żadnemu śmiertelnikowi – raz w tygodniu, nocą, mógł niemal bez żadnego wysiłku przemierzać Bałtyk wzdłuż, wszerz i w głąb, jakby nie człowiekiem był, a rybą; z kolei Miłce zabroniono najwyraźniej zbliżać się do wody, ale tylko tej morskiej, bo nawet palca w niej nie zamoczyła. Przy każdej wizycie na brzegu wpatrywała się tęsknym wzrokiem w horyzont i przekonana, że nikt jej nie podgląda i nie podsłuchuje, czasem popłakiwała, czasem mamrotała modlitwy o żalu i poświęceniu ponad jej siły, czasami zaś wydawała z siebie jakieś dziwne klekotanie. Sławko słyszał już podobne dźwięki i dziwował się, że jego luba ze wszystkich morskich zwierząt wybrała sobie na obiekt zainteresowania właśnie morświny. Niejednokrotnie wyrzucał sobie te eskapady, śledzenie ukochanej i uleganie niezdrowej ciekawości, chociaż dziwne umiłowanie jego małżonki do morświnów dawało mu do myślenia. Siłę tego przywiązania ukazała w całej krasie pewna sytuacja, jaka rozegrała się już lata po ich ślubie. Miłka, zazwyczaj niezgłaszająca żadnych obiekcji wobec jego rybackich wypraw, zbladła śmiertelnie i omal nie osunęła się na podłogę na wieść o zbliżającym się połowie tych właśnie ryb, by następnie urządzić piekło najpierw jemu, potem – całej wsi. Gdy jej nie posłuchali, zniknęła na całą noc, a rankiem rozpętał się potężny sztorm, trwający kilka dni z kawałkiem. Z polowania na morświny zrezygnowano, Miłka wróciła do domu, bez słowa zajęła się swoimi sprawami i wszystko zdawało się takie, jak pierwiej, jednak nigdy nie odzyskała dawnej pogody

i spokoju ducha. Zawsze lubiła patrzeć na morze, teraz powoli stawało się to jej obsesją, której oddawała się w każdej wolnej chwili. Doszło do tego, że przerywała zwyczajne obowiązki i spoglądała przez okna w dal, w kierunku morza. Wydawała się wiecznie zatopiona w myślach, stała się niedbala i niewiele uwagi poświęcała domownikom, nawet i własnym dzieciom. Pytana o powody takiego stanu zdawała się zdziwiona i udzielała wymijających odpowiedzi, a z czasem zaczęła reagować niezadowoleniem i krzykiem, przekonując wszystkich wokół, że nic jej nie dolega i czuje się dobrze. Gdy pewnej nocy Sławko obudził się i odkrył pustkę ziejącą po drugiej stronie łóża, przeraził się nie na żarty, postawił na nogi parobka i pospieszył na plażę. Już z oddali dojrzał drobną sylwetkę w białym giele, miotającą się tuż przy linii morza. Ruszył ku niej biegiem i wtem stanął jak wryty, gdyż wyglądało to tak, jakby kobieta usiłowała wejść do wody, która uparcie się przed nią cofa, niezależnie od tego, jak daleko zapuszcza się w morze. Krzyczała coś o Juracie, powrocie do domu i zwróceniu jej prawdziwej skóry, lecz pytana później o to wszystko, odmówiła wyjaśnień. Z trudem udało mu się zaciągnąć zziębniętą i zapłakaną żonę z powrotem do domu i przekonać ją do wypicia ziół na uspokojenie, a następnego dnia udał się na poszukiwania szeptuchy, jaka miała zamieszkiwać dwie wsie dalej, jako że z problemem podobnej natury do nikogo innego zwrócić się nie mógł. Słono opłacił jej usługi. Przyjęła kosmyk włosów i kilka należących do Miłki drobiazgów, by niemal natychmiast ugięły się pod nią kolana, a twarz wykrzywił grymas zdumienia zmieszanego z przerażeniem. Drżącymi dłońmi przygotowała amulet dla „cierpiącej”, jak to sama określiła i równie drżącym głosem poleciła wywieźć ją „w głąb lądu, byle dalej od morza, z którego została wzięta”. Nie chciała wyjaśnić znaczenia tych słów, tylko szybko wypchnęła zdumionego i zrozpaczonego mężczyznę za drzwi. Dobijał się do niej przez kolejne dwie godziny, aż w końcu przegnała go grupa okolicznych mieszkańców, zirytowana hałasem oraz męceniem „mądrej kobiety”, jak ją nazywali. Przez całą drogę powrotną zastanawiał się i nad zasłyszanymi rewelacjami, i nad

sposobami zdobycia majątku niezbędnego do zaleconego przedsięwzięcia. Zaszyty u Miłkowego pasa amulet nieco złagodził objawy melancholii, ale nie zażegnał problemu. Coraz trudniej było kobiecie znieść widok sięgającej aż po horyzont tafli wody, coraz rzadziej towarzyszyła mężowi w wizytach handlowych i coraz częściej zamykała się w obrębie granic ich posesji, by nocami wymykać się na plażę i klekotać w kierunku rozbijających się o brzeg fal. W sercu Sławka wzbierała rozpacz. Nie potrafił porozumieć się z żoną, nie wiedział też, jak ulżyć jej cierpieniom. Zaczęła też dręczyć go samotność, tym dotkliwsza, że ukojenie znajdowało się tuż obok, na wyciągnięcie ręki, a jednak jakby w innym świecie. Dręczyło go także nieokreślone poczucie, że przyczynił się w jakiś sposób do obecnej sytuacji i odczuwał wyrzuty sumienia na myśl o tamtej nieudanej wyprawie na morświny, od której wszystko się zaczęło. Nie raz i nie dwa polował z powodzeniem na te zwierzęta, ale miało to miejsce na długo przed tamtym wypadkiem. Z jakiegoś powodu znienawidził te ryby, jakby próbowały skraść mu ukochaną żonę, albo już skradły jej duszę, pozostawiając jedynie pustą skorupę.

Mijały miesiące, podczas których coraz głośniejsze szeptano o dziwnej chorobie Sławkowej. Znaleźli się też tacy, co to zaczęli dopatrywać się w tym wszystkim wpływu jakowys sił nieczystych i chętnie odgrzebujących z mroków historii zastanawiające początki tego związku. Plotki te kilkakrotnie dotarły i do uszu niemego rybaka, co przerażało go nie na żarty, szczególnie gdy zaraz po Bożym Narodzeniu do Łeby przybył książęcy posłaniec. Na szczęście niespodziewane odwiedziny nie dotyczyły zwalczania sił diabelskich, a wieści o dalekim Gdańsku, gdzie w zatoce szykowano masywny połów morświnów, zlecony przez samego władykę. Zima tego roku okazała się nadzwyczaj ciepła, więc rozpleniły się ponoć tak dalece, że nie sposób było nadążyć z łataniem porwanych sieci, czym wielkie szkody czyniono tamtejszemu rybołówstwu. Sławko od razu zgłosił się na ochotnika,

a dzięki poparciu wciąż przychylnym mu współziomkom otrzymał dowodzenie nad jedną z łodzi. W skrytości ducha modlił się, aby te wieści nie dotarły do Miłki, nawet jeżeli od jakiegoś czasu niemal nie opuszczała chałupy, zaszywając się w ogrodzie, jedynej rzeczy, jakiej nie przestała jeszcze kochać. Książę obiecywał nagrodę w srebrze i bez wątpienia starczyłaby na wyprowadzkę i w góry, o których słyszał kilkukrotnie podczas wizyt w miastach, a które strasznie chciał zobaczyć i które zdawały się odpowiednie, by oderwać Miłkę od źródła jej nieszczęść. W tej sytuacji pozostawało mu odliczać dni do wypłynięcia na szerokie wody. Pilnował, aby najmniejsza pogłoska na ten temat nie przedarła się za bielony płótek ich ogrodu i przygotował wcale przekonującą wymówkę, gdyby jakimś cudem Miłkę zainteresowało cokolwiek poza szumem fal. Nie wiedział, czy bardziej boi się tego zainteresowania, czy bardziej na nie liczy i nie dane mu było się o tym przekonać, bo takowe nie nadeszło. Nadszedł za to dzień wyprawy. Wieczorem Sławko spił Miłkę usypiającym wywarem, aby w środku nocy delikatnie ucałować jej blade czoło i wymknąć się niepostrzeżenie z domu. Bez problemu przybył do portu i dołączył do przygotowywań, a o świcie skończyli ostatnie przygotowania. Morze zdawało się spokojne. Jego gładka, szara tafla fałdowała się lekko we mgle mroźnego, styczniowego poranka, ale próżno było spodziewać się jakichkolwiek trudności ze strony pogody. W końcu wszyscy załadowali się wraz z osprzętowaniem na pokład i odbili od brzegu w stronę wyłaniającej się znad horyzontu tarczy, bladej i niewyraźnej. Sławko stanął na dziobie, kontent z tak spokojnego przebiegu spraw, gdy od strony lądu dobiegł go przeraźliwy wrzask. Rzucił się na tył i tylko dzięki szybkiej reakcji kolegów nie runął w lodowatą toń. Kilka par silnych rąk złapało go z tyłu za kubrak, a on szarpał się i wyrywał, wpatrzony w malutki punkcik, jaśniejący na tle poszarzałych zabudowań niewielkiego portu. Czas jakby spowolnił, kiedy Sławko obserwował, jak ubrana jedynie w nocną koszulę Miłka cwałuje przez opustoszałą wieś, przecina plażę i wbiega na molo. Daleko w tyle maja-

czyła inna kobieca sylwetka, jednak poruszała się o wiele wolniej, zdecydowanie za wolno, by dogonić zdesperowaną uciekinierkę.

– O nie, to moja Martuś! – jęknął z wysiłkiem głos przytroczonych do jednej z par przytrzymujących Sławka rąk. – Pytała, czemu Miłka cię nie odprowadza! Na te słowa Sławko począł szarpać się ze zdwojoną siłą. Na jego oczach Miłka wyminęła zaskoczonych maruderów, dobiegła do krawędzi pomostu i mocno się odbiła. Biały materiał załopotał zjawiskowo na szaro-brązowym tle. Dopiero teraz ludzie w porcie zorientowali się w sytuacji. Kilkoro ruszyło na ratunek, kobieta zwana Martusią alarmowała tych w najbliższych chatach, kapitan krzyczał coś o zawracaniu do brzegu. Wszystko na nic. Miłka ewidentnie nie chciała być ratowana. Wynurzyła się na powierzchnię. Nawet z tej odległości Sławko widział jej okrągłą twarzyczkę, wykrzywioną z gniewu i zapłakaną, oczy, błyszczące niezłomną wolą i determinacją. Spanikowany, zastanawiał się, czemu morze ją przyjęło. Chciał krzyczeć, wrzeszczeć, że zawraca, że nigdzie nie płynie, jeśli ona tego nie chce. Nie mógł. Widok zamazywały mu cisnące się pod powieki łzy. Otrzeć ich też nie mógł, trzymano go mocno, ktoś nawet przewiązał go w pasie liną. Walczył niczym rozwścieczony niedźwiedź. Nie obchodziło go, że są daleko. Nie obchodziło, że woda musi być lodowata. Nie obchodziły go żadne sensowne argumenty, wykrzykiwane zza jego pleców. Musi dostać się do wody. Musi! Pękł kubrak, porwały się rękawy koszuli. Mężczyzna zamarł w gorączkowym oczekiwaniu, wciąż uwięziony w stalowym uścisku. Łzy kapały na drewno pokładu. W oddali majaczyły pospiesznie spuszczone na wodę łódki. Miłka była już o wiele za daleko, by wyciągnąć ją z wody na czas. Wyraźnie traciła siły, mokre ubranie ciążyło jej nieznośnie. Wykrzykiwała jakieś dziwne, niepowiązane ze sobą wyrazy, czasem strzępki zdań, odbijające się niewyraźnym echem od tafli wody. Mimo wszechobecnego rwetesu Sławko dosłyszał coś jakby „moja rodzina”, „nie pozwolę”, „pani, obiecałaś!” i tym podobne. Drobną postać coraz częściej zniknęła pod wodą. Wynurzała się z rzadka, ale wydawała już

z siebie tylko te swoje dziwaczne klekoty. W końcu zniknęła na dobre. Sławko wisiał na wzór worka kartofli. Zmartwiał, odrętwiał, pragnął już tylko samemu rzucić się w lodowato zimne fale i dopełnić losu, jaki powinien go spotkać wiele lat temu. Jakby na zawołanie przed oczami stanęła mu tchnąca dumą i grozą sylwetkę Juraty. Wwiercała się w niego tym beznamietnym, złym spojrzeniem, przed którym nie mogło ukryć się nic, a na pewno nie tak wielkie poczucie winy, jakie trawiło teraz ogniem jego piersi i spływało palącymi strumieniami po ogorzałych policzkach. Zamrugął gwałtownie, próbując odegnąć łzy i z przerażeniem odkrył, że królowa rzeczywiście wpatruje się prosto w niego, niezauważona przez nikogo innego z powodu rozgardiaszu, wciąż panującego i na łodzi, i na brzegu. Lekkim skinieniem podbródka wskazała na fale, w miejsce niedaleko dziobu. Sławko automatycznie spojrzał tam, gdzie nakazała i dostrzegł szary grzbiet, podpływający do powierzchni dla nabrania powietrza. Wtedy zrozumiał.

Głupi. Głupi. Głupiś!

Patrzył, jak grzbiet znika w ciemnozielonych odmętach. Zabrakło mu tchu. Płuca ścisnęły się, jakby ktoś nałożył na nie żelazną obręcz. Spróbował nabrać powietrza nosem – bez skutku, spróbował ustami – nic z tego. Wypreżył się, napinając krępujące go liny. Oczy potoczyły się w głąb czaszki. Przerażeni, dezorientowani koledzy puścili go i obserwowali, jak rzuca się i dygoce na kształt wyrzuconej na brzeg ryby. Wkrótce zsiniał, z uchylonych warg potoczyła się piana. Do uszu tłoczących się rybaków dobiegł jeszcze rozdzierający jęk: *Milka!* I Sławko skonał.

W dwa dni potem na Łebę uderzył sztorm tak wielki, który tak wielkie poczynił szkody, że tym razem mieszkańcy porzucili złudzenia, jak i zresztą swoje zajęcia i domostwa. Zebrali, co zebrać się dało i wyruszyli na drugą stronę rzeki w nadziei, że tam Jurata spojrzy na nich łaskawszych okiem.

Dariia Lohvynenko

Marek i Marzanna

Mężczyzna jechał pociągiem, coś pisząc na laptopie. Dyspozytorka ogłosiła opóźnienie pociągu, co go rozproszyło – podniósł głowę i napotkał spojrzenie dziewczyny. Promień słońca przebił się przez jej szare oczy i na chwilę rozświetlił je od środka. Przymknęła powieki, a mężczyzna speszony odwrócił wzrok i zaczął znowu pisać na klawiaturze. Z jakiegoś powodu jego serce zaczęło bić mocniej, a klawisz z literą "A" zaciął się, powodując pojawienie się na ekranie 50 znaków ~ ~ ~ ~ ~ ~ ~ ~ ~ ~ i tak dalej. Głos dyspozytorki jakby się oddalił, a w jego głowie pozostał powtarzający się dźwięk: ~ ~ ~ ~ ~. Przetarł twarz dłońmi, potarł oczy i wypił trochę wody. Pomyślał, że pewnie jest zmęczony, zbyt intensywnie studiował.

Zamknął laptopa i opadł na fotel z zamkniętymi oczami. Ale dźwięk nie zniknął; zmienił się w melodię, prawdopodobnie z jakiejś reklamy turystycznej: To są motyki, to są ptaki, to są pruskie półtrojaki. To jest jarzmo, to jest wół, to jest całe, a to pół. To jest małe, to jest wielkie, to są instrumenty wszelkie... Marek, hej, wyłącz wideo – klepnął go w ramię kolega. Tydzień później, w Dzień Równonocy Wiosennej, znajomi z wydziału Kulturoznawstwa zaprosili Marka na wydarzenie, mówiąc: „Chodźmy na grilla!”. A jednak, na samym brzegu plaży w Gdańsku, ujrzał pięknie przystrojoną kukłę Marzanny i tłum radosnych ludzi. Coś znów ścisnęło mu serce, a apetyt na pieczone kiełbaski zniknął. Już myślał o powrocie do domu, ale nogi, jak z kamienia, nie chciały się ruszyć. Nagle, znikąd, zaczęła grać znajoma melodia... To je klëka, to je wół, to je całe, a to pół. Całe, pół, klëka, wół, hòk, ptòk, półtoròk, slédné kòło wòzné, prosté, krzëwé, chòjné, widlë gnojné, ridel, ticz, òznôczô Kaszëba, basë, skrzëpczi, krótczé, dłudzé, to kaszëbskò stolëca. „Ale cringowe” – przemknęło przez myśl. Jednak

wiatr powiał, a promienie słońca przebiły się, rozświetlając zimne fale Bałtyku. Przezroczysty, szarawy kolor fal nabrał jakiegoś szczególnego, złocistego ciepłego blasku. Gdzieś to już widział, czuł – coś bardzo bliskiego, swojego. Marek z boku wyglądał dziwnie, spięty. Kolega zaproponował papierosa. Tak, to pomogło odwrócić uwagę, ale zaraz. Potem Marek wrócił do domu i zasnął. Śniło mu się to ozdobione, ogromne kukło, z olbrzymią umalowaną twarzą, która przybliżała się do niego i emanowała chłodem i śmiercią. W tle słyszał tę dziecięcą wyliczankę, która doprowadzała go do szaleństwa. Ku swojemu zdziwieniu, Marek, jak smok, zionął ogniem na to paskudne kobiece stworzenie i aż zerwał się na łóżku. Obudzony zlany potem, zaczął się modlić, a po chwili uspokojony zasnął.

Rano zanurzył się w telefonie, szukając: „Co oznacza sen o Marzanie”, i przypadkowo natrafił na: „Kim byłeś w poprzednim życiu? Hipnoza. Regresja”.

„Oho” – przemknęło mu przez myśl. A co, jeśli byłem smokiem?

I zadzwonił. Odebrała kobieta, która okazała się być lekarką ze Szczecina, ale również interesuje się medycyną alternatywną, więc hobbyistycznie prowadzi seanse regresyjnej hipnozy. Marek zmieszał się. To znaczy, czy to w ogóle jest legalne? I przecież był katolikiem. A ile to kosztuje? Dziewczyna zaśmiała się tak serdecznie, że jego policzki zapłonęły. – Jestem Bronisława. Nie bój się, jesteś przecież z Lęborka, prawda? Weź ze sobą przyjaciela, ja będę z mężem i córką. Spotkamy się w Lęborku, w parku. Oni pospacerują i poczekają na nas, a my popracujemy – nic złego ci się nie stanie. Co powiesz na tę niedzielę? Marek odpowiedział: – Dobrze, o 12 będzie w porządku? Ok. Bardzo szybko. Poczuł, jakby właśnie zapaliło mu się zielone światło, i stoi na progu jakiegoś odkrycia. A nie, nie, raczej jakby zadziałał jakiś turbosilnik, który pchnął go z ogromną prędkością w nieznane.

Seans w kamiennym kręgu

Spotkali się w piątkę – Marek z przyjacielem, Bronisława z mężem i ich ośmioletnią córką. – No dobrze, moi drodzy i mili. Idźcie do muzeum w Wieży Bismarcka, a my z Markiem się przejdziemy. Zadzwo-
nimy pierwsi, nie martwcie się o nas – powiedziała Bronisława, poda-
jąc Markowi turystyczną matę i koc. Wyciągnęła kompas i ruszyli
w głąb parku, w stronę drzew. Marek był tu już tysiąc razy, to przecież
jego Lębork! To tylko Pomnik Czołg. Ale na tej polanie jeszcze nie
był. Rzeczywiście, dziwne, po co te kamienie leżą w kręgu? Bronisła-
wa spojrzała na kompas, pochodziła po polanie tam i z powrotem, po-
czym powiedziała:

– Tutaj. Tutaj usiadzimy. To świetnie, że jesteś z Lęborka, bliziotko.
Sama byłam zaskoczona, kiedy dowiedziałam się, że jest tu takie nie-
zwykłe miejsce. Miejsce mocy. To miejsce, w którym geomagnetycz-
ne pole Ziemi pomaga człowiekowi w realizacji tego, co chce osią-
gnąć. Jak to powiedzieć... Spełnia marzenia, rozumiesz? Pytałeś, czy
to legalne. To zależy, z której strony na to spojrzeć. Fizjoterapia w me-
dycynie tradycyjnej używa elektryczności jako terapii wspomagającej
przy głównym leczeniu. Ale wszystko ma swój początek. Kiedyś elek-
troforeza również nie była uznawana. A teraz my po prostu skorzysta-
my z naturalnego pola magnetycznego Ziemi. Wiesz, czym się różni
pole magnetyczne od elektrycznego?

– No, w sumie to się uczyliśmy, oczywiście... Teraz czuję się trochę
głupio.

– Achaha, nie przejmuj się, ludzie żyją na co dzień i nawet o tym nie
myślą. Jedno i drugie to prądy elektryczne, tylko że magnetyczne two-
rzy zamknięte wiry i spirale, a elektryczne – nie. Na Ziemi, z powodu
różnych zasobów, tych korzystnych i tych niekorzystnych, zmienia się
pole elektromagnetyczne. Może ono tłumić życie – wtedy w takim
miejscu drzewa nie rosną ładnie, są krzywe, suche i niezbyt urokliwe.
A może przeciwnie – poprawiać zdrowie i wspierać życie. Jak tutaj.
Człowiek także żyje dzięki impulsom elektrycznym, które przekazują
informacje od nerwu do nerwu, i sam emituje elektryczność. I inne

istoty żywe również. Wszyscy ze sobą oddziałujemy i „kopiemy się” prądem! Bronisława znowu roześmiała się serdecznie:

– To nauka. Możesz być spokojnie katolikiem albo buddystą. Kim chcesz. I tak na ciebie będą oddziaływać prądy elektryczne ziemi i innych istot.

– Mi kiedyś ktoś powiedział, że to wykopane kamienie, że zbierają się tam wiedzmy nocą i rzucają zaklęcia. Potem, że to „miejsce satanistyczne i lepiej tam nie chodzić”. Jak byłem mały i głupi, to wierzyłem... Kto umieścił tutaj kamienie?

– Goci jako pierwsi nauczyli się wzmacniać miejsca mocy i oznaczać je. Nauczyli się korzystać z takich miejsc. Tutaj koło zrobiono według zasad gotyckich w 2004 roku. Często przyjeżdżają tu śmiałkowie z nurtu New Age, ale dość pytań, bierzmy się do roboty. Dziewczyna zręcznie rozwinęła matę, kazała Markowi rozłożyć ręce i zakreśliła nim zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Delikatnie ułożyła go potem, przykryła kocem i wyciągnęła przezroczysty kryształowy waha-dło, które mieniło się wszystkimi kolorami tęczy. Marek odpłynął.

Walka

Kiedy otworzył oczy, było ciemno. Leżał na piecu, a dzieci tuliły się do niego. Automatycznie obejmował je. Na dotyk, było ich dużo – ile? Cztery... nie, pięć... i jeszcze maleństwo. W domu było zimno. To wszystko było jakieś dziwne. Usłyszał, jak w sieniach otwierają się drzwi i do środka wchodzi kilka osób. Swoi. Żona i starsze dzieci. Z zewnątrz nawiało śniegu. Od razu podeszli do pieca.

– Marek, obudź się, jesteśmy gotowi. Mleko, twaróg, chleb, orzechy już zapakowaliśmy. Ty weźmiesz koce. Trzeba iść teraz. Oni przecho-dzą przez wieś, wszystko podpalają, wszystko płonie. Ratibor zebrał ludzi i powiedział, żeby wyprowadzić wszystkie kobiety i dzieci z Białogardu, a mężczyzn będzie czekał pod dębem Świętopełka. Ukryję dzieci, znajdziesz nas nad Jeziorami Raduńskimi.

Wstał, ale z jakiegoś powodu tylko na jedną nogę. Druga noga zniknęła, została tylko kikut. Na zewnątrz skrzypiał wiatrak i słychać było plusk wody. Żona i córki, a okazało się, że Marek miał ich aż siedem, opatuliły się ciepło i już siedziały w wozie, kiedy na podwórze weszli obcy. Marek z jedną nogą nie mógł szybko biec. W tej chwili trzymał w ramionach niemowlę i nie zdążył podać dziecka do wozu, tylko krzyknął: „Pędź!” Z całej siły klepnął konia po zadzie i ukrył się w chlewie. Dziecko mogło zapłakać i zdradzić jego kryjówkę. Spojrzał w ogromne szare oczy córeczki i położył ją obok owieczek w cieple. Wrócił do domu. Gang rabusiów siedmiu lub ośmiu osób już przeszukiwała dom. Po wsi roznosił się zapach spalenizny, inne domy płonęły, słychać było trzask walących się belek, ale nie słychać było ludzi. Marek czuł, że śmierć ogarnęła jego wioskę. Na twarz opadały mu duże płatki śniegu. Marek postanowił powstrzymać zło. Spali dom wraz z obcymi. Począł, aż usiadł, żeby odpocząć, najciszej jak potrafił zamknął drzwi na zasuwę i zaczął rzucać w okna płonąca słomę, zamykając okiennice. Ale nie wszystko przewidział. Za nim rozległ się dziecięcy płacz. Odwróciwszy się, zobaczył kobietę w czerni o przerażającej twarzy. Twarz była przecięta ogromną blizną, usta źle zrosły się, a oko było zdeformowane. W jednej ręce trzymała sztylet, a w drugiej dziecko za nogi, głową w dół. Niemowlę krzyczało. Zapach spalenizny i dym stawały się coraz silniejsze, ludzie w domu walili nogami w drzwi. Trzeba było działać szybko. Myślą Marek zwrócił się do ognia: „Duchy ognia, stańcie za mną! Ojcowie i dziadowie moi, pomóżcie! Obdarzcie nową siłą!” W jednej ręce miał kulę, w drugiej pochodnię. Podpalił na sobie ubranie i rzucił się na rozbójniczkę. Nie spodziewała się takiego manewru, upuściła dziecko i chciała przebić Marka, ale nie zdążyła. Marek mocno ją objął i zaczęli płonąć razem, turlając się po ziemi, zahaczając o niemowlę. Dziewczynka stoczyła się w stronę młyna i plusnęła do wody. Zamieniła się w rybkę, a tylko jej tęczy bok błysnął. Mówią, że od tamtej pory pstrąg zawsze płynie pod prąd, żeby odnaleźć swoją rodzinę, bez

względu na wszystko. A Marek wyrwał rozbójnicze sztylet, przycisnął ją do ziemi i krzyknął: – Kim jesteś?!

– Marzanna! – odpowiedziała zachrypniętym głosem. Wtedy Marek ostatkiem sił przycisnął pochodnię, i oboje wydali ostatnie tchnienie.

Według legendy Marzanna nie mogła umrzeć całkowicie i nie zdołała zamrozić na śmierć Marka – okazał się zbyt odważny. Zamieniła go w bociana, a tylko sadza i języki ognia nadały mu czarno-czerwony kolor. I odtąd samotny czarny bocian wędruje po brzegach, szukając swojej maleńkiej córeczki w rzece.

Szczęście

- A teraz będę liczyć od 10 do 1, a ty się obudzisz... 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1...

Marek, otwórz oczy...

Marek uniósł powieki i zobaczył przed sobą te same szare oczy...

– Moja maleńka... Bronisławo...

– Witaj, tato...



GAZETA LĘBORSKA EXTRA

Osoby Dorosłe

01/04

LEGENDY I KLECHDY
ZIEMI NIEBIESKIEJ

1992

KARMAZYNOWE ŁZY

Byli młodzi, gdy rozpoczęto budowę fontanny. Dotychczas przechadzali się ulicą Staromiejską. Spotkania, zaczynając w parku, dochodzili aż na Plac Pokoju, gdzie siadali i rozmawiali długimi godzinami. Gdy się ściemniało, wracali, otoczeni przez ceglane budynki i latarnie usługujące ciepłym światłem. Czasami, dla kilku chwil więcej, szli inną drogą, mijając Klasztor pod wezwaniem św. Jakuba Apostoła i stare mury obronne. Zupełnie zatraceni w sobie mijali także innych zakochanych. Każdą wolną chwilę, skapani w promieniach słońca i chłodzie światła księżyca, spędzali razem. Rozdzielali ich jedynie wołania rodziców, mówiące, że właśnie przyrządzony obiad zaczyna stygnąć.

Na lęborskich ulicach łatwo było spotkać żołnierzy. Wszak wojna niedawno dobiegła końca. Oni jej nie pamiętali, byli za młodzi. Wojnę znali jedynie z opowieści rodziców. Sądzili, że są bezpieczni, przecież kolejnej wojny już nie będzie.

Ukończyli szkołę podstawową. Przyszedł czas na wybór zawodu. Ona chciała zostać krawcową, a on kochał pisać. Jednak jego rodziców nie było stać na wysłanie go do internatu, a nawet oczekiwali, że już zacznie zarabiać.

Nadal spotykali się, po zajęciach, po jego pracy, gdy tylko była okazja. Zawsze w tym samym miejscu. Przy już wybudowanej fontannie z żabkami. Przeglądali się w tafli jej wody. Wrzucali kamyczki, a kiedy akurat mieli, drobne monety, wyznając sobie najskrytsze marzenia, z nadzieją, że niebawem się spełnią. Czasami stali przy fontannie bez słowa, po prostu się obejmując. Jedynie osiem kamiennych żab towarzyszyło im w tych chwilach. Naprawdę się kochali.

Dorośli. Wiedzieli, że zawsze chcą być razem, więc zaczęli odkładać każdy grosz na ślub i mieszkanie. Poza tymi, które



wrzucone do fontanny miały przynieść im szczęście. Ona pracowała jako krawcowa, a on nigdy nie został pisarzem.

W nocy wszystkich zbudził alarm. Nie wiedzieli, co się dzieje. Dzieliły ich trzy ulice, jednak każde z nich widziało przez okno ten sam obraz: tłumy, panikę i płacz. Już nie sądzili, że są bezpieczni, przecież kolejna wojna właśnie nadeszła. On zaciągnął się do wojska, ona pracowała, szyjąc mundury. Mimo tego nadal się spotykali. Nie tak często jak przedtem, ale nadal w tym samym miejscu – przy fontannie z osmioma żabkami. Przeglądali się w jej wodzie, która mimo czasów nadal była spokojna. Wiedzieli, że gdy tylko wojna dobiegnie końca, wezmą ślub. Tak spotykali się wiele miesięcy, aż nadszedł pamiętny grudzień.

Tego dnia skończył służbę wcześniej niż zazwyczaj. Czekał przy fontannie. W rękach trzymał drobny upominek i czerwoną różę. Były Mikołajki. Gdy przyszła, w objęciach stanęli oparci o fontannę. Złapali się za ręce

i tym razem też rzucili monetę na szczęście.

Rozległ się niezrozumiały głos. Nieprzyjemny i niski, należący do wysokiego i chudego jak sama śmierć żołnierza. Szedł w ich kierunku. Mówił szybko i groźnie. Spojrzał na nich chłodno i uniósł rękę z rewolwerem, z dwoma pustymi komorami. Ich ręce ani na chwilę się nie opuściły. W błagalnych wrzaskach również trwali razem. Wrogi żołnierz spojrzął na nich, obrócił głowę. Minęła chwila, zanim odszedł.

Niedługo potem mieszkali razem. Tak jak dawniej trzymali się za ręce. Nadal wieczorami obejmowali się przy fontannie z osmioma żabkami, z tylko jedną różnicą. Teraz byli spokojni. Cała wieczność należała wyłącznie do nich. Ona we włosach miała zakrwawioną różę od ukochanego. Jego mundur naznaczony był dwoma dziurami. Na żabkach już nie było karmazynowych łez, które uroniły w ów pamiętny dzień. Teraz patrzyły pustym wzrokiem na kochającą się parę. Widzieli jak nie mogą już wrzucić żadnej monety, która przyniosłaby im szczęście, jak nie mogą zamoczyć palców w spokojnej tafli wody. Po prostu byli razem, obserwowani przez osiem kamiennych żab, których wzrok wieczorami przestaje być obojętny.

Po dziś dzień można zauważyć parę stojącą przy fontannie. Niektórym objawia się jako szwaczka i poeta piszący jej zapewne wiersze. Inni widzą, jak po prostu trzymają się za ręce. Jeśli są obserwowani zbyt długo, rozplývają się niczym mary nocne, by następnego zmerchu znów powrócić i po prostu być razem. Jedynie kamienne żabki mogą ciągle im towarzyszyć, ponieważ nawet tamtego grudnia, ani na moment nie spuściły wzroku. Teraz chłopak i dziewczyna są razem, tak jak było kiedyś i tak jak będzie już na zawsze.